

Tove Jansson

Córka rzeźbiarza



Boże Narodzenie

Im się jest mniejszym, tym Boże Narodzenie jest większe. Pod gałęziami choinki jest ogromne, jest zieloną dżunglą z czerwonymi jabłkami i smutnymi, cichymi aniołami, które wirują na nitkach, strzegąc wejścia do dziewiczego lasu, a w szklanych bombkach dziewiczy las nie ma końca. Dzięki choince Boże Narodzenie jest absolutnym bezpieczeństwem.

Dookoła jest bardzo duża i bardzo zimna pracownia. Tylko przy piecu kaflowym jest ciepło. Trzaska ogień i cienie kładą się na podłodze i na nogach rzeźb, jakby na kolumnach.

W pracowni stoi bardzo dużo rzeźb, te wielkie, białe kobiety zawsze tam były. Stoją wszędzie, ruchy ich ramion są niezdecydowane i nieśmiałe, patrzą gdzieś poza ciebie, bo są zubożone i smutne w całkiem inny sposób niż moje anioły. Niektóre mają na głowie szmaty do

gliny, a największa ma brzuch przewiązany sznurem do bielizny. Bielizna jest mokra i gdy przechodzisz, muska cię w ciemności po twarzy niczym zimne, białe ptaki. Wieczorem zawsze jest ciemno.

Okna w pracowni nie wolno nigdy myć, bo daje bardzo piękne światło, ma sto małych szybek, niektóre są ciemniejsze od innych, a latarnie na dworze bujają się i rysują na ścianie własne okno. Stoją tam mocne regały, a na każdym białe kobiety, ale malutkie. Zwracają się ku sobie albo odwracają od siebie, ich ruchy są równie nieokreślone i nieśmiałe jak tych wielkich kobiet. Wszystkie są odkurzone przed Bożym Narodzeniem i tylko mamie wolno ich dotykać, natomiast granatów z wojny wyzwoléncej nigdy się nie odkurza.

Kobiety tatusia są święte. On przestaje o nie dbać z chwilą, gdy są odlane w gipsie, ale dla wszystkich innych są święte.

Prócz kobiet, okna i pieca kaflowego reszta jest w cieniu. Pod ścianami leży groźna góra rzeczy, których nie wolno penetrować, są to żelazne stelaże, skrzynie z gliną i gipsem, formy składane, drewno, szmaty i kawalety, a pod nimi i za nimi pełza to coś tajemniczego o czarnych jak noc oczach.

Ale w środku pracowni jest pusto. Stoi tylko jeden kawalet z kobietą owiniętą mokrymi szmatami i ona jest najświętszą ze wszystkiego. Kawalet ma trzy nogi, które rzucają sztywne cienie na pusty skrawek cemen-

towej podłogi i dalej, w górę, w stronę sufitu, a ten jest tak daleko, że nikt nie może się do niego dostać, dopóki nie znajdzie się w domu choinka. My mamy zawsze największą i najpiękniejszą choinkę w mieście, wartą pewnie majątek, bo musi sięgać sufitu i być gęsta. U wszystkich innych rzeźbiarzy są małe i mizerne, nie mówiąc już o pewnych malarzach, u których to, co mają, z trudem można by nazwać choinką. Ludzie mieszkający w zwyczajnych mieszkaniach stawiają je na stole przykrytym s e r w e t ą, biedacy! I kupują choinki mimochodem.

My, to znaczy tatuś i ja, wstajemy w umówiony dzień o szóstej, bo choinki trzeba kupować, póki jest ciemno. Idziemy ze Skatudden aż na drugi koniec miasta, bo tam jest duży port, który stwarza konieczne tło do kupowania. Przeważnie wybieramy przez wiele godzin i podejrzliwie oglądamy każdą gałąź, bo zdarza się, że są doczepione. Zawsze jest zimno. Któregoś razu wierzchołek jakiegoś drzewka uderzył tatusia w oko. W porannych ciemnościach kręci się pełno czarnych, marznących tłumoków wyszukujących choinki, a śnieg usiany jest jodłowym igliwem. Nad całym portem i placem targowym panuje nastrój zagrożenia i czarów.

Potem pracownia zostaje przemieniona w puszcę dziewiczą, gdzie można się schować głęboko pod choinką i stać się niedostępnym. Pod choinką trzeba być przepełnionym miłością. Są miejsca, w których można smucić się albo nienawidzić, na przykład między podwój-

nymi drzwiami, tam gdzie wpada poczta. Drzwi od strony przedpokoju mają małe, zielone i czerwone szybki, a w przedpokoju jest pełno ubrań, nart i kufrów. Właśnie między tymi podwójnymi drzwiami jest akurat wystarczająco miejsca, żeby stać i nienawidzić. Jeżeli się nienawidzi w dużym pokoju, od razu się umiera. Ale jeżeli jest ciasno, nienawiść wchodzi z powrotem do wewnątrz i krąży po ciele, nie docierając nigdy do Boga.

Z choinkami jest całkiem inaczej, zwłaszcza gdy już wiszą bombki. One gromadzą w sobie miłość i dlatego upuszczenie ich jest tak strasznie niebezpieczne.

Gdy tylko choinka zostaje wniesiona do pracowni, wszystko nabiera nowego znaczenia, jest przepełnione świętością niemającą nic wspólnego ze sztuką. Wtedy Boże Narodzenie zaczyna się na serio.

Szłyśmy z mamą do oblodzonych skał za rosyjskim kościołem i wydrapywałyśmy mech. Wylepiałyśmy z gliny święty krajobraz, z pustynią i Betlejem, zawsze z nowymi ulicami i domami, zajmował całe okno w pracowni. Robiłyśmy jeziora z lusterek, ustawiałyśmy pasterzy na całym terenie, dając im nowe owce i nowe nogi, bo stare rozmiękły w zeszłorocznym mchu, piasek nasypywałyśmy bardzo ostrożnie, żeby glina mogła być później użyta. Kiedy wyciągnęłyśmy żłobek ze strzechą, który pochodził z Paryża z roku tyśiąc dziewięćset dziesiątego, tatuś bardzo się wzruszył i musiał zrobić sobie drinka.

Maria siedziała zawsze na samym przodzie, ale Józefa trzeba było postawić wśród krów, bo został kiedyś uszkodzony przez wodę, a poza tym jest mniejszy, więc perspektywicznie lepiej wygląda w tyle. Na końcu umieszczaliśmy Dzieciątko Jezus, które jest z wosku i ma prawdziwe kręcone włosy, tak jak to robiono w Paryżu, nim ja się urodziłam. Kiedy już było na swoim miejscu, musieliśmy milczeć przez długą chwilę.

Zdarzyło się raz, że Poppolino wyszedł z klatki i zjadł Dzieciątko Jezus. Wdrapał się na Statuę Wolności tatusia, usiadł na rękojeści miecza i zjadł Dzieciątko.

Nie mogliśmy nic zrobić, nie mieliśmy nawet odwagi spojrzeć na siebie. Mama ulepiła nowe z gliny i pomalowała je. Uznaliśmy, że wyszło zbyt czerwone i za grube w pasie, ale nikt nic nie powiedział.

Boże Narodzenie zawsze szeleści. Szeleści za każdym razem, tajemniczo, srebrnym papierem i złotym papierem, i bibułką, a wszystko osłania, ozdabia i kryje przebogata obfitość błyszczącego papieru, świadcząca o niczym nieskrępowanej rozrzutności.

Wszędzie były gwiazdy i kokardki, nawet na półmisku z zapiekanką z brukwi i na drogich, kupnych kiełbasach, które pojawiały się na świątecznym stole, zanim zaczęliśmy jadać szynkę.

Można było obudzić się w nocy i usłyszeć dający poczucie bezpieczeństwa szelest zawijanych przez mamę prezentów. Którejś nocy mama namalowała na każdym

kaflu pieca, aż do samej góry, małe niebieskie krajobrazy i bukiety kwiatów.

Mama wycinała foremką piernikowe koziołki, szafranowym ciasteczkom w kształcie kotków robiła kręcone nogi i wciskała rodzynek na środku brzucha. Kiedy przysyłano je nam ze Szwecji, kotki miały tylko cztery nogi, ale co roku tych nóg im przybywało i w końcu całe ciasteczka ozdabiała poskręcana, wariacka ornamentyka.

Mama odważała cukierki i orzechy na wadze do listów, tak żeby każdy dostał tyle samo. W ciągu roku wszystko mierzy się z grubsza, nikt nie ma czasu na taką dokładność, ale Boże Narodzenie jest okresem bezwzględnej sprawiedliwości, dlatego wymaga tyle wysiłku.

W Szwecji robi się domowe kiełbasy, leje się w domu świece i przez kilka miesięcy zanoszą się biednym koszyczki z darami. Wszystkie mamy szyją nocami prezenty, a w wigilijny wieczór stają się Łucjami, z dużym wieńcem i mnóstwem świec na głowie.

Tatusz mocno się przeraził, widząc po raz pierwszy Łucję, lecz gdy spostrzegł, że to tylko mama, zaczął się śmiać. Potem chciał, żeby przy każdej wigilii powtarzała tę swoją zabawę.

Leżałam w łóżku na moim pięterku i słyszałam, jak Łucja z trudem wchodzi po schodach. Wszystko razem było tak piękne jak w niebie, a mama, szwedzkim zwyczajem, ulepiła świnkę z marcepanu. Potem znowu troszkę

pośpiewała i weszła na pięterko tatusia. Mama śpiewa tylko raz w roku, bo jej struny głosowe są popsute.

Na balustradzie dookoła naszej antresoli stały setki świec czekających na zapalenie tuż przed ewangelią o Bożym Narodzeniu. Wówczas po pracowni zaczynają wędrować wzdłuż i wszerz jakby migoczące sznury pereł, i jest ich może nawet tysiąc. Bardzo ciekawie wygląda dogasanie, bo wtedy łatwo może się zająć tekturowa ściana.

Około południa tatusia ogarniało podniecenie, traktował święta bardzo poważnie i ledwo wytrzymał te wszystkie przygotowania. Był całkiem wykończony. Poprawiał każdą świecę, żeby stała prosto, i ostrzegał nas przed niebezpieczeństwem pożaru. Wybiegał do miasta po malutką gałązkę jemioli, która jest droższa od róż i orchidei, ale musi wisieć pod sufitem. Wciąż się dopytywał, czy na pewno wszystko jest w porządku, i nagle dochodził do wniosku, że całe Betlejem jest źle zakomponowane. Potem robił sobie drinka, żeby się uspokoić. Mama wyskubywała lak ze złotych wstążek i papieru z zeszłorocznego Bożego Narodzenia.

Gdy zapadał zmierzch, tatuś szedł na cmentarz, zanieść orzechy wiewiórkom i popatrzeć na groby. Nigdy go zbytnio nie obchodzili krewni, którzy tam leżą, i oni też nigdy go specjalnie nie lubili, byli bowiem dalekimi krewnymi i dość mieszczańskimi. Po powrocie do domu tatuś był smutny i dwa razy bardziej podniecony, dlatego

że cmentarz z tyłoma palącymi się świecami przedstawiał cudowny widok. W każdym razie wiewiórki zakopywały masę orzechów u krewnych, choć to było zabronione. To jednak jest pocieszającą myślą.

Po kolacji robiliśmy długą przerwę, żeby przygotować miejsce Bożemu Narodzeniu.

Leżeliśmy po ciemku na naszej antresoli, słuchając, jak w pracowni mama szeleści przy piecu; za oknami, na ulicach, było zupełnie cicho.

Potem zaczynało się zapalanie po kolei długich rzędów świec, a tatuś zrywał się z łóżka, żeby sprawdzić, czy na choince trzymają się idealnie prosto i czy ta za Józefem nie podpali strzechy.

Potem następowało czytanie ewangelii o Bożym Narodzeniu. Najbardziej uroczyście brzmiało to, że Maria chowa słowa w swoim sercu, i prawie równie pięknie, że wybrali inną drogę powrotną do swojego kraju. Reszta nie robiła takiego wrażenia.

Kiedyśmy już trochę z tego ochłonęli, tatuś nalewał sobie drinka. I wtedy stwierdzałam triumfalnie, że Boże Narodzenie należy do mnie.

Wpełzałam do zielonej dziewiczej puszczy i wyciągałam paczki. Tam, głęboko pod gałęziami, uczucie pełnej miłości było prawie nie do wytrzymania, taka skondensowana świętość, na którą składały się Marie i anioły, i mamy, i Łucje, i rzeźby, wszyscy razem błogosławili mnie i przebaczały cały miniony rok, ten przedpokój też,

i w ogóle wszystko na całym świecie, byle tylko mogli mieć pewność, że wszyscy się wzajemnie kochają.

W tym właśnie momencie upuściłam na cementową podłogę największą bombkę – i zrobiły się z niej najmniejsze i najsmutniejsze na świecie okruchy szkła.

Powstała nieprawdopodobna cisza. Bombka miała w szyjce małe kółko z dwoma metalowymi pręcikami. Mama powiedziała:

– Właściwie to ona zawsze była w złym kolorze.

No i zapadła noc, wszystkie świece się wypaliły, wszystkie pożary zostały zagaszone, wstążki i papiery pozwijane do następnych świąt. Swoje prezenty wzięłam ze sobą do łóżka.

Co jakiś czas pantofle nocne tatusia człapały po schodach w dół do pracowni, tatuś brał sobie kawałek śledzia, nalewał drinka i próbował wydobyć jakiś dźwięk z radia, które sam skonstruował. Panował zupełny spokój.

Raz coś się stało z radiem, bo zdążyło odegrać całą piosenkę, zanim powróciły zakłócenia. Ale one też są czymś w rodzaju cudu, takie niezrozumiałe, oderwane sygnały z dalekiego kosmosu.

Tatuś długo siedział w ciemnej pracowni, jadł śledzie i próbował złapać odpowiednie melodie. Gdy mu się to nie udało, wrócił na górę na swoje pięterko i szeleścił gazetami.

Świece mamy dawno już powygaszały, pachniało choinką, troszkę spalenizną i wszechogarniającym błogosławieństwem.

Nigdy spokój nie jest tak błogi jak po świętach, kiedy otrzymawszy przebaczenie za wszelkie przewinienia, można znowu być normalnym.

Pomalutku zapakowaliśmy święte rzeczy i włożyliśmy je do szafy w przedpokoju; jodłowe gałązki paliły się w kaflowym piecu, trzaskając krótko i gwałtownie. Ale pień choinki spaliliśmy dopiero podczas następnych świąt. Stał przez cały rok koło skrzyni z gipsem i przypominał nam o Bożym Narodzeniu i absolutnym bezpieczeństwie wszystkiego.

Złoty cielec	5
Ciemność	13
Kamień	23
Uczta	29
Anna	35
Góra lodowa	45
Zatoki	51
Prawo morskie	61
Albert	69
Wysoka woda	77
Jeremiasz	83
Teatr	91
Zwierzęta domowe i panusie	97
Ciotka, która miała pomysł	111
Tiulowa spódnica	123
Śnieg	129
Różyczka	139
Fruwanie	143
Boże Narodzenie	149

Tove Jansson nigdy nie napisała klasycznej autobiografii, choć przez całe życie tworzyła autoportrety – w książkach, listach, ilustracjach i obrazach. Rok po śmierci ojca, rzeźbiarza Victora Janssona, w 1959 napisała kilka krótkich tekstów opowiadających o dziecku i rodzicach artystach. Sześć lat później Tove oddała ojcu hołd, publikując *Tatusia Muminka i morze*, książkę z dedykacją „dla pewnego ojca”.

Jesienią 1967 roku Tove Jansson napisała w liście do przyjaciółki: „teraz nie piszę już dla dzieci, ale o pewnym dziecku – dla dorosłych. Ciężko jest i eksperymentując bez pomocy Doliny Muminków”.

W *Córce rzeźbiarza* Tove Jansson nie kryje już historii rodzinnych pod płaszczem muminkowej metafory, nie wymyśla imion dla swoich bohaterów. Opowiada o zabawach, przygodach, o domu, a przede wszystkim o wspaniałej rodzinie i miłości, bez których z pewnością niełatwo byłoby jej stać się jedną z najwybitniejszych artystek XX wieku.

JUSTYNA CZECHOWSKA, tłumaczka

Tove Jansson *Córką rzeźbiarza* napisała s w o j ą wersję dziecięcych lat. Mieści się w niej artystyczna topografia, para ludzi sztuki i myślenie obrazami, którym przesiąkają język i życie.

Fragment książki BOEL WESTIN *Tove Jansson. Mama Muminków*

Byłoby błędem doszukiwać się w *Córce rzeźbiarza* biograficznego klucza do Muminków. To zupełnie inna proza. Tove Jansson, spełniona pisarka, powraca tu do własnego dzieciństwa i otula je dojrzałym, szczęśliwym spojrzeniem. Cudowna książka!

PIOTR PAZIŃSKI, pisarz

www.marginesy.com.pl



9 788365 282279

cena 32,90 zł

PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII



lubimyczytać.pl

ROOM